

Jaka piękna katastrofa! (V) — wykrot

Od autora: To ostatni odcinek epizodu wigilijnego. Teraz akcja znacznie przyspieszy i na długo przed nastaniem kolejnego lata, całej historii przyjdzie kres. Przecież już trochę lat minęło od czasu, kiedy z winy nieremontowanego rozjazdu na torach pod Warszawą, Tomek i Dorota poznali się. Teraz mają dwóch, chodzących już do szkoły synów, o czym Tomka żona nie ma najmniejszego pojęcia...

Wszyscy spotkają się na balu. We trójkę. A nawet we czwórkę, bo przecież Dorota będzie ze swoim mężem...

Zapraszam do kolejnego cyklu "Jeszcze się bawimy..."

Będę publikował tylko jego fragmenty.

- Kto to dzwonił? – spokojnie zapytała Marta. Nie widziałem powodu, żeby ukrywać prawdę.
 - Moja szefowa. Życzyła nam wszystkim wesołych świąt.
 - To z szefową tak rozmawiałeś? – zdziwiła się Joasia.
 - Jak? – zainteresowała się Marta.
 - Jesteś z nią na ty?
 - Nie opowiadaj! – Marta nie uwierzyła. – Ja nie słyszałam...
 - Ty słyszałaś zakończenie rozmowy, a ja początek...
 - I co z tego? – przerwałem jej. – Jakie to ma znaczenie? Ważniejsze jest to, co mówiła.
 - A co powiedziała?
 - Że mamy iść na bal.
 - Ho, ho, ho! Nie rozpędziła się zbyt? – retorycznie zapytała Marta. – Mnie nie płaci i na bal nie dała mi pieniędzy.
 - Dała. Dostałem premię. Będzie na koncie po świątach.
 - Taaak? – ta wiadomość nieco przystopowała Martę. Nie wiedziała co ma odpowiedzieć.
 - A o mnie nie mówiła? – Joasia ożywiła się sztucznie, pewnie bez nadziei na moją pozytywną odpowiedź.
 - Mówiła.
 - Co mówiła?
 - Też idziesz na bal. We dwoje.
 - Naprawdę, czy sobie żartujesz?
 - Nie żartuję. Wigilia to nie jest dobra pora na głupie żarty.
 - Tato, ja pytam poważnie!
 - A ja zupełnie poważnie odpowiadam. Zaproszenie dostaniesz po świątach.
 - Wow! – Joasia wyrzuciła ręce do góry w triumfalnym geście. Jednak po chwili doszła pewnie do wniosku, że coś jej się nie zgadza. – Tatku, a skąd twoja szefowa wie o balu? Kim ona jest?
 - Taka jedna pani...
 - Rosjanka?
 - Niekoniecznie. Nazywa się Dorota Warwick...
- Aż ciepło mi się zrobiło, kiedy to wypowiedziałem. Nie wiedziałem, jaka będzie ich reakcja.
- Co? Pani prezesowa? To ona jest twoją przełożoną? – Joasia spoglądała na mnie podejrzliwie.
 - Tak! Ta sama! Anna niczego ci nie mówiła?
 - Nie...
 - Przecież Anka idzie tą ścieżką, którą pani prezesowa proponuje też tobie. I my jesteśmy w Moskwie pod jej osobistym nadzorem. I obydwójce z Anką dla niej pracujemy.

Joasia nie kryła zaskoczenia.

- Poczekaj, to ty ją znasz?

- Owszem. Przecież już mówiłem! To od niej dostaję zadania do realizacji. A to, o którym mówiłem, że mam wykonać pod Warszawą, również jest na jej zlecenie.

- To takie buty!... – Joasia coś analizowała.

Oj, gdyby wiedziała, że Dorotka jest mamą jej dwóch przyrodnych braci...

Miałem nadzieję, że jakoś wybrnąłem z całej sytuacji, chociaż milczenie Marty i jej wnikliwe wysłuchanie wszystkiego było zastanawiające. Też pewnie była zaskoczona, ale nie miała takiego przeglądu sytuacji jak Joasia. Dla Marty to wszystko było pewną nowością, miałem więc nadzieję, że nie poskłada wszystkiego zbyt dokładnie i te puzzle jej się nie ułożą. Ale i tak mnie zaskoczyła.

- To o czym tak długo rozmawialiście? – usłyszałem nagle. – Bo to nie wyglądało na dyskusję o sprawach służbowych...

- Nie, to były sprawy prywatne. Powiedziała, że jak nas nie będzie na balu, to żebym pożegnał się z pracą, bo mnie zwolni.

- Poważnie? Ja nie mogę! – Joasia zaśmiała się. – Tatku, ale jakoś nie wyglądasz na bardzo zmartwionego...

- A czym się mam z góry martwić? – wzruszałem obojętnie ramionami. – Tobie nie groziła, więc może chociaż ty się utrzymasz. Jakoś przeżyjemy...

- Tomek, ty to mówisz poważnie? – Marta patrzyła na mnie niepewnym wzrokiem.

- Bardzo poważnie – objąłem ją. – Masz już zarezerwowany hotel i szefowa prosiła cię, abys załatwiła sobie kilka dni urlopu na okres po balu.

- A po co? – wyrwało się jej, lekceważącym tonem. Nagle roześmiała się w głos. – Ktoś mi tu bajki opowiada...

- To nie są bajki – odpowiedziałem spokojnie. – A po co to wszystko, tego nie wiem. Może tak na wszelki wypadek? Przecież szefowa nie wtajemnicza mnie we wszystkie swoje plany. Może chce z nami porozmawiać...

Nieoczekiwanie wpadłem w dobry humor. Na horyzoncie widziałem przełamanie oporów Marty.

- Porozmawiać? Prywatnie? O czym? – odezwała się Joasia. – Ja sobie nie wyobrażam takich prywatnych rozmów w naszym banku.

- W jakim sensie? – zapytałem zaskoczony.

- U nas się o tym nie rozmawia! – Joasia zaczęła tłumaczyć to, co od dawna znałem. – Ja tam pracuję prawie cztery miesiące, a niczego nie wiedziałam o twojej szefowej, bo to mnie nie dotyczyło.

- A kto powiedział, że chodzi o sprawy prywatne? – zaoponowałem żywiołowo. – Przecież szefowa może na przykład chcieć ze mną w poniedziałek porozmawiać o sprawach zawodowych. Skoro już pofatyguje się do Polski, to pewnie z zamiarem wykorzystania pobytu do maksimum. A pogoda może być wtedy różna. Ja bym musiał w niedzielę jechać do domu i zaraz wracać do Warszawy, żeby na poniedziałek rano być w banku. To chyba nie miałoby wielkiego sensu i nie było zbyt bezpieczne...

- No tak, to jest logiczne i jasne, ale... – Joasia przerwała i popatrzyła na mnie. – A kto płaci za hotel?

- Podobno mamy mieć zarezerwowany – mruknąłem w odpowiedzi. – O to się nie martw. Wstawię koszty do delegacji. I jeszcze jedno. Załatwiłem ci dwa dni wolnego na zakupy.

- Naprawdę? Jak fajnie! – Joasia aż skakała z radości. – Tak ci powiedziała?

Pokiwałem głową potakująco.

- Widzę, że ja mam tutaj najmniej do powiedzenia – gderała Marta. – Ciekawe skąd ja na to wszystko wezmę pieniądze.

- Oj, mam! – Joasia z zapalem zaczęła przekonywać Martę. – Już nie narzekaj! Zaraz po świętach rozejrzę się za czymś w Warszawie...

- Przypominam, że ja wyjeżdżam do Moskwy dopiero po Nowym Roku, więc do Warszawy mogę was zawieźć.
- Ale teraz przed Sylwestrem, to wszędzie jest drogo i ciasno – Marta nadal szukała samych przeszkód.
- Mamo, ale teraz będzie największy wybór. No i może będę miała trochę więcej czasu, żeby przeglądnąć wszystko dokładnie...
- Słuchajcie! – wtrąciłem się do rozmowy. – Ustalcie sobie to wszystko, a ja zaraz wrócę – wstałem od stołu z zamiarem wyjścia.
- Gdzie się wybierasz? – Marta spoglądała na mnie podejrzliwie.
- Nigdzie! Zejdę na chwilę na dół, do samochodu. Sprawdzę, czy wszystko w porządku – odparłem w miarę obojętnie.

Aż mnie skręcało, żeby zobaczyć, co też takiego Dorota zostawiła w skrytce. Zabrałem z pokoju kluczyki, moduł i kartę, po czym zarzuciwszy na siebie kurtkę, wyszedłem z mieszkania i zjechałem windą w dół. Dookoła skrzył się śnieg, w oknach płonęły światełka choinek, gdzieś rozlegały się dźwięki kolęd, atmosfera była naprawdę świąteczna. Nawet tutaj, na przyblokowym parkingu, czuło się, że wreszcie są święta.

Jeep stał dumnie tuż za drogą osiedlową. Takiego auta nie było tu w okolicy. Wewnątrz był wygodny, niczym luksusowa limuzyna, a z zewnątrz lśnił chromem oraz czernią lakieru. Prezentował się bajecznie, bo i był wielkim krążownikiem szos. To była nowa maszyna. Oglądałem przecież dowód rejestracyjny, jeszcze w Pokrzywnie. Tegoroczny model. Z marca bieżącego roku. Dorota chyba nie zdążyła się do niego przyzwyczaić.

Po wyłączeniu zabezpieczeń, otwarłem drzwi. Wewnątrz zapaliło się światło i monitor zażądał uwierzytelnienia osoby wchodzącej. Wsunąłem kartę kodową do czytnika i na dotykowym ekranie wybrałem ręcznie kod operacji. Auto miało zabezpieczenia takie same jak przy bankowych transakcjach. Ze zmiennymi kodami. W związku z tym nie bardzo nadawało się do jazdy po mieście. Jego każdorazowe uruchamianie było skomplikowane. Ale za to ponoć nie ukradli w Polsce jeszcze ani jednego takiego pojazdu. Bo w niewłaściwych rękach samochód zwyczajnie nie dawał się uruchomić. I tylko jedna stacja w Warszawie miała prawo jego serwisu. To była stacja, która obsługiwała również samochody amerykańskiej ambasady.

Kiedy już byłem pewien, że auto mnie przyjęło, że nic tu się nagle nie zatrzaśnie, blokując mi nawet wyjście, otwarłem skrytkę pod deską rozdzielczą. Wewnątrz znajdował się zwinięty, zafoliowany rulon. Wyjąłem go i rozwinąłem... a w miarę czytania, zamieniałem się w słup soli.

To nie był tamten samochód Doroty! Miałem w ręku notarialny akt dotyczący innego egzemplarza jeepa, będącego też własnością Doroty, który czynił mnie jego pełnoprawnym użytkownikiem i dysponentem w kraju i za granicą, łącznie z możliwością sprzedaży i z prawem udzielania dalszych pełnomocnictw. Coś tu nie grało! Zrobiło mi się gorąco i nieswojo...

Odłożyłem dokument i gorączkowo sięgnąłem po dowód rejestracyjny. Jeep Doroty miał prosty numer WA DORIS. Nie pozostawiający wątpliwości co do osoby właściciela. A tutaj... jak byk widniało WA TOMMY! O cholera! Otwarłem usta i gwałtownie wciągałem powietrze... Właścicielem była Dorota, ale data rejestracji była październikowa... że też Romek niczego mi nie powiedział!

Ponownie schwyliłem lekko rozwinięty rulon i chociaż wewnątrz było zimno, niemal spocony czytałem dalej.

Ewentualny nowy użytkownik był w przyszłości pozbawiony możliwości darmowego serwisu. Tylko ja byłem wymieniony imiennie i ja miałem na zawsze zachować prawo zlecenia całej obsługi na rachunek właściciela, czyli Doroty. Jednak dopiero za dwa lata. Na razie auto było objęte pełną gwarancją i wszelkie działania, przeglądy i ewentualne naprawy, obejmował bezpłatny serwis producenta. Użytkownika nie

obchodziło nic innego oprócz nalewania benzyny.

Siedziałem wewnątrz jak mumia, chociaż czasami wstrząsnęły mną dreszcze. Trochę z powodu zimna, ale również z emocji. Nawet wtedy, kiedy Dorota ot tak, kazała mi jechać jeepem do domu i przyjechać potem do Warszawy, to nie czułem się jakoś z nim związany. Nawet nie pozwoliłem sobie na marzenia o takim wozie. To nie było auto z mojej półki. Nawet półki marzeń. A teraz...

Zaraz, zaraz... coś mnie tknęło. Gwałtownie otwarłem drzwi i wyszedłem z wozu, aby sprawdzić tablice rejestracyjne... Wszystko się zgadzało. WA TOMMY widniało zarówno z przodu jak i z tyłu. Jak ja mogłem nie zauważyć tego w Warszawie? Tak mnie Romek zbajerował? I dziwne, bo kartę przecież miałem tę samą!

Chwileczkę... przecież kartę mu dawałem, żeby odjechał z lotniska... I nie pomyślałem, że jakoś tam przyjechał! Dlaczego wziął moją ode mnie?

Nerwowo wsiadłem do samochodu, bo wewnątrz paliła się lampka. Wyjąłem kartę z kieszeni...

To nie była moja dawna karta! Była niemal taka sama, ale nie ta sama. Ciekawe że PIN był identyczny, bo już skorzystałem z niej w bankomacie. Reszty kodów nie byłem w stanie sprawdzić. Będę musiał zadzwonić do Romka i dowiedzieć się wszystkiego o tym numerze, który mi wykręcił, żebym nie nadział się na coś niemiłego. Musi mi to wszystko wyjaśnić!

Z jednej strony czułem się głupio, a z drugiej byłem zachwycony. Dorotka podarowała mi taki samochód! Bo tak faktycznie to podarowała! Wspominając wcześniejsze z nią rozmowy, oraz tę ostatnią z Lidką, od razu zrozumiałem, że ten cały ceremoniał jest tylko po to, abym nie płacił podatku. Zdawałem sobie sprawę, że Dorota nie rzuca słów na wiatr. I skoro zrobiła tyle wysiłku, aby taki papier przygotować, to się nie cofnie. A przecież doskonale wiedziałem, że na taki prezent to ja niczym sobie nie zasłużyłem! Po co ona to zrobiła? Przecież to były kosmiczne pieniądze! Mogła mi go czasem użyczać, jak dotąd... ja przecież nie potrzebowałem samochodu. Do Moskwy go nie zabiorę, bo i po co?

Pukanie w szybę przywróciło mi świadomość. Wróciłem do rzeczywistości i otwarłem drzwi.

- Witam świątecznie! – usłyszałem głos sąsiada. – Kurczę, co to za maszyna? Jeszcze takiej nie widziałem! – zaglądał do środka.

Wyszedłem na zewnątrz nie zmykając drzwi. Przywitaliśmy się, po czym zaproponowałem mu pogłądanie wnętrza. Usta mu się nie zamykały.

- Ale bryka, ja pierniczę! To twoja? – zapytał po dłuższej chwili. Postanowiłem mówić niemal prawdę. Wiedziałem, że i tak nie uwierzy.

- Wygląda na to, że moja! – wycodziłem powoli. – Dostałem ją właśnie pod choinkę.

- Nie mów! – roześmiał się. – Od kogo? Chyba nie powiesz, że od żony! – zakpił, patrząc na mnie wesoło.

Też się roześmiałem. Nasze żony niejedną raz narzekały wspólnie na mizerny stan domowej kasy oraz naszych dochodów.

- Pewnie, że nie! – śmiałem się nadal. – To od takiej jednej... mojej kochanki... milionerki...

Sąsiad śmiał się pełnym głosem.

- To w Rosji są takie hojne kochanki?

- Bywają! – wyjaśniałem dalej, dotrzymując mu wesołości. – Czasem można taką spotkać.

- Pewnie stara i paskudna, ale masz rację! Za takie auto, to ja bym kochał i wiedźmę!

- Pudełko, sąsiedzie! – oświadczyłem z wyższością w głosie. – Jest młoda, przepiękna i bardzo bogata! W dodatku kocha mnie nad życie!

Teraz to już całkiem go zastrzeliłem. Długo śmialiśmy się we dwóch.

- Że też na mojej drodze nigdy się takie nie pojawiają! – kręcił głową, niby zawiedziony, ale jednocześnie rozbawiony niemal do łez. – Musisz mieć jakieś swoje tajemne ścieżki.

- No właśnie miałem taką! – podjąłem temat. – Ale wiesz... ja bym ci nawet tę ścieżkę pokazał, tyle, że to działa jednorazowo. Raz się uda, a potem już nic! Jak w totolotku!

- Czyli mówisz... – nadal się śmiał – że to działa jak złota rybka. Jedno życzenie spełnione i koniec! Dalej nie da rady.

- Niestety! – potwierdziłem. – Trzeba potem takiej ścieżki szukać od nowa, w innym miejscu. Ja tam nie szukam, bo mi jedna wystarczy. Ale na tej ścieżce nie ma drugiej wygranej...

Powygłupialiśmy się w tym stylu jeszcze przez jakiś czas, po czym wróciłem do domu.

Ech, gdybym przewidział, że właśnie wtedy, w wigilijny wieczór, na przybłokowym parkingu, własnoręcznie założyłem sobie pętlę na szyję...

W mieszkaniu czekały mnie wyrzuty i powrót do tematyki balowej. Zanim zdążyłem powiesić kurtkę w przedpokoju.

- Tatku, co z tobą? – zaatakowała mnie Joasia – Już się bałyśmy, że gdzieś wyjechałeś.

- Nie jeżdżę po alkoholu – zapewniłem ją. – To wszystko przez sąsiada – tłumaczyłem się. – Dopadł mnie na parkingu i musiałem mu pokazać samochód. Tak mu się podobał...

- I coś się zachwycać cudzym autem – odezwała się ironicznie Marta. – Jak się samemu nie zarobiło na takie.

Joasia podeszła do mnie i cmoknęła w policzek.

- Tatku, dziękuję ci za kolię, jest piękna! I mamie też się podoba!

- A co ja mam z tym wspólnego? – zapytałem głupawo, bo Marta zwarzyła mi nastrój. – Podziękuj Mikołajowi! Będziesz miała na bal jak znalazł!

- Czyli biżuterię na bal już mamy – skomentowała Marta. – Jeszcze tylko kiecka, buty, torebka, płaszcz... i to nie jedna para butów. A i sukienkę trzeba przebrać, czyli potrzebna jest druga. O majtkach i reszcie nawet nie wspominam. Tomek! – zwróciła się do mnie. – Czy ty zdajesz sobie sprawę ile to będzie kosztować? A i Joasi trzeba by pomóc, bo sama nie da sobie rady. Ty też nie masz w czym pójść, wypadłoby mieć jakiś konkretny, nowy garnitur...

- Mamo, ja niczego od was nie chcę! – Joasia była zdeterminowana. – Dam sobie radę sama.

- Marta, ja wiem, że to niemałe pieniądze – tłumaczyłem. – Ale zrozum, te wydatki pozwolą nam mieć dochody w przyszłości. Skoro szefowa powiedziała, że nie chce nawet słyszeć o jakichś próbach usprawiedliwiania nieobecności, to tak ma być. Z nią się nie dyskutuje.

- Czyli ty tak samo o tym wiesz! – Joasia była naiwnie rozbawiona. – A już myślałam, że masz z nią jakieś swoje układy...

- Mam i nie mam. Zależy z której strony się popatrzy.

- Już się tak nie chwal! – spojrzała na mnie z wyższością. – Zobaczymy na balu kto jest ważniejszy! – uśmiechała się łobuzersko.

- Ano, zobaczymy! – westchnąłem filozoficznie i raczej z rezygnacją w głosie, nie mając zamiaru przetrzącać się teraz argumentami.

- Ciekawe, co zobaczymy – pomyślałem jeszcze raz, odchodząc do pokoju. Musiałem przez chwilę poleżeć w samotności, aby przetrwać to wszystko, co się wydarzyło.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelakiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

wykrot, dodano 28.12.2012 09:52

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.